

## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

*Małgorzata Anna Ciosmak*

# Finlandia? Tylko zimą!

Ucieszyłam się, mając w perspektywie poznanie tego ciekawego kraju. Zastanawiałam się jednak, czy to dobry pomysł lecieć tam w takiej porze roku, kiedy jest krótki dzień, i mróz, i na sobie nosi się cebulkę krępującą ruchy. Głęboko zakorzeniona we mnie ciekawość, towarzysząca mi w zasadzie od urodzenia, zachęcała do podjęcia tej podróży. Najpierw kwerenda po Internecie w poszukiwaniu informacji na temat tego państwa, jego historii ludzkiej i geologicznej, charakterystyki przyrodniczej i samych ludzi. Nie bez znaczenia jest też klimat. Jest tego wielkie mnóstwo. Dzięki blogom i różnym stronom www można sobie nie tylko wyobrazić, ale prawie poczuć się tak, jakby się tam bywało bardzo często. Przydatne są opinie i porady znajomych, którzy mieli już za sobą spotkanie z Finlandią.

Wyposażona w wiedzę gdzie spać, jak się ubrać, co zjeść, co i gdzie warto kupić, wystartowałam z Lublina, najpierw do Warszawy na lotnisko Okęcie. Aura ponura, lepki śnieg pod nogami, zachmurzone niebo, senni pasażerowie i jeszcze czułam się byle jak, z powodu niskiego ciśnienia atmosferycznego. No i mróz, tak około  $-4^{\circ}\text{C}$ . Po przekroczeniu kontroli, a wcześniej zdaniu bagażu, skierowałam się od razu do miejsca, gdzie już z daleka było czuć aromat kawy. Niestety, wypita pod kanapkę duża kawa nie dała oczekiwanego efektu rozbudzenia. Aby nie przegapić momentu przejścia do samolotu, przeszłam do odpowiedniej bramki. Siedząc przyglądałam się nadchodzącym pasażerom, spośród których dwoje przykuwało ciągle moją uwagę. Prawdopodobnie studenci, obcokrajowcy, entuzjaści laptopów i zadowoleni z aktywnego w porcie lotniczym dostępu do Internetu, klepali w klawiatury leżąc na brzuchach na podłodze, wyłożonej w tym miejscu miękką wykładziną. Po jakimś czasie znużeni, a może ze zmęczenia, ucieli sobie na tej podłodze drzemkę, wcześniej chowając laptopy do plecaków, podłożonych potem pod głowę. Oczekiwanie na odlot trwało długo, więc i ja na coś skierowałam uwagę. Były to kratownice podtrzymujące dach hali odlotów. Szalenie pasjonujące zajęcie, szczególnie dla kobiety w nazwijmy to „średnim wieku”. Włączyły się wspomnienia z czasu studiów, kiedy to pomagałam kolegom z Wydziału Mechanicznego w obliczeniach konstrukcji kratownicowych, a oni mnie w przekładniach. Ach te zerowania węzłów, i Maxwell, i jeszcze parę innych. Romantyzm rozważań kratownicowych przerwała pewna sytuacja. Kątem oka zauważyłam, że jestem obserwowana przez kilka osób, które raz patrzą na mnie, a innym razem przyglądają się konstrukcjom, wędrując wzrokiem tam, gdzie i ja. Prawdopodobnie gdybym wtedy krzyknęła, że się wali strop, powstałaby panika, a „moi” obserwatorzy byłiby pierwszymi uciekającymi. Taka jest siła sugestii. Myśl

na szczęście tylko przeleciała mi przez głowę. Kontynuację musiałam zawiesić na czas nieokreślony, bo zaczęto przepuszczać pasażerów na pokład samolotu. Drzemiący studenci w samą porę obudzeni, pozbierawszy plecaki też podeszli do bramki. Wchodząc do rękawa łączącego nas z samolotem, zdążyłam zauważyć transport bagażu, wśród których na wierzchu był mój. Jaka ulga – poleciał tam, gdzie i ja. Różnie bywa.

Usadowiłam się wygodnie w fotelu i zaczęłam przeglądać załączone czasopisma, całe pełne reklam. Kolory przyciągały wzrok, ale jednocześnie zwracałam uwagę na to, co się dzieje w samolocie. Stewardesa zaznajamiała z zasadami bezpieczeństwa i obsługą pasów oraz maseczki tlenowej, a także gdzie znajduje się wyjście na wypadek koniecznej ewakuacji. Lubię ten moment, kiedy samolot, zabezpieczony odpowiednio i pozamykany, rusza ze stanowiska, szykując się do startu. Czekałam na pojawienie się krajobrazu, bo szyba była mało przejrzysta. A tu niespodzianka! Nie kołuje na pas startowy. No to gdzie? Jakoś na bok. Zatrzymał się w końcu i nagle jak nie lunie coś żółtego prosto w okno, przy którym siedziałam. Gdyby nie zapięty pas, pewnie uciekłabym na bok z fotela. Podobnie było z pasażerami przede mną i za mną. Okazało się, że to konieczne zimą polewanie całego samolotu, mające na celu odlodzenie i zapobieżenie oblodzeniu, musiało się odbyć poza stanowiskiem przyjęcia pasażerów na pokład i przed startem. Zaraz potem samolot rozpoczął kołowanie na pas startowy. Kierunek – Helsinki.

Początek lutego, dzień krótki i zaczęło się robić szarawo. Kiedy dolecieliśmy do Helsinek, był już wieczór. Pięknie wyglądało miasto z góry. Linie ulic oświetlone lampami na żółto, lodowiska na niebieskawo, różne obiekty i punkty zielone i czerwone. Jadąca policja lub ambulans tylko mrugały niebieskim kolorem. Samolot zniżył lot, a ja opętańczo fotografowałam te kolorowe rozetki i pajaki.

Pierwszy etap miałam za chwilę za sobą. Trzeba było jeszcze poczekać na lot do Tampere. Zanim jednak to nastąpiło, pospacerowałam sobie po obiekcie, zaglądając do każdego butik, sklepiku. W pewnym momencie sama się do siebie uśmiechnęłam. Zaczęłam się zastanawiać ile kosztuje „Finlandia” w Finlandii. Jak przeliczyłam na polskie złote, wypadło prawie tyle samo co w Polsce. Pomimo łatwej dostępności tego trunku w Polsce, postanowiłam go kupić wracając. Zawsze to jednak przywiezione stamtąd. Lot do celu trwał krótko. Pozostało tylko dostać się z lotniska do hotelu.

Kilkupiętrowy hotel „Cumulus” przy ulicy Hämeempuisto stoi przy jednej z głównych ulic i praktycznie w samym centrum miasta. Wieczorem, po podróży, ssanie w żołądku było nieznośne i trzeba było coś prze-

gryźć. Kanapka to za mało. Zresztą została zjedzona w Helsinkach. Wybór padł na hotelową restaurację na parterze. Stylizowane poroża reniferów na szybach wskazywały na wybitnie mięsny charakter menu. Z marszu zamówiłam więc grillowane mięsko renifera i jarzyny z kluseczkami jak nasze pospolite kładzione. Trafiłam w dziesiątkę, bo zarówno wygląd, jak i smak namawiały na dodatkową porcję. Jednak zmęczony nieco organizm chciał odpocząć. Winda, czwarte piętro, korytarz i... i wpadło w oko, że piętro wyżej jest sauna. Jak przystało na fińską tradycję narodową, JEST sauna i JEST dostęp-



Urząd Miasta Tampere

na bezpłatnie dla gości hotelowych. Piętro wyżej – tylko piętro wyżej! Nie, dzisiaj nie pójdę. A jak tam będzie mieszane damsko-męskie towarzystwo? Przecież Finów golizna w saunie nie szokuje! Poczekam do jutra, a potem zobaczymy. Wypytałam dyskretnie, aby nie popełnić gafy. Wróciłam do pokoju z mocnym postanowieniem skorzystania następnego dnia. No właśnie, jaki był ten pokój? Rzec by można czarno-zielono-beżowo-biały. Na ścianie nad łóżkiem wielka fototapeta przedstawiająca parę znoszonych, zdeformowanych, traperskich butów, z wystającymi z nich zmiętymi skarpetami. Już tylko brakowało odpowiedniego aromatu. Rzut okiem na łóżko gotowe do spania przypominał, że dzień w zasadzie się skończył, a północ tuż-tuż. Nastawiłam budzik na ósmą i zmyłam z siebie cały miniony dzień. Leżąc, zerknęłam tylko jednym okiem na ekran i-phone'a. Acha, temperatura na zewnątrz  $-8^{\circ}\text{C}$ . I ułożyłam głowę na poduszce. Nagle usłyszałam dźwięk budzika. Ciemno wokół, dopiero zasnąłam a on dzwoni? Patrząc na ekran komórki – ósemka mruga do mnie. To nie temperatura za oknem, ale budzik! Jest ósma rano! Przespałam osiem godzin.

Za oknem dwupasmówka przysypana śniegiem, a na niej ustawiający się kolorowy sznur samochodów. Po drugiej stronie ulicy jakiś pofabryczny budynek z wysokim, chyba na jakieś 30 metrów, kominem. Za kominem na niebie sierpek księżycy. Temperatura?  $-11$  stopni. Zaczął się dzień mroźny, ale słoneczny. Wielokrotne „kiitos” słyszane przy śniadaniu, „matka” przy recepcji hotelowej i „Puola” w Urzędzie Miasta Tampere, nauczyły mnie mówić po fińsku „dziękuję”, że „podróż” miałam dobrą i że miejsce, z którego przyjechałam to „Polska”. Jednak po fińsku nie starałam się mówić, bo to zbyt trudne. Wolałam po angielsku, w którym to języku biegle mówią wszyscy.

Ważne obiekty w Tampere miałam w zasięgu spacerowym, więc nawet nie próbowałam szukać komunikacji miejskiej. Zaciekawienie budziło posypywanie chodników grysikiem granitowym. Jak się później dowiedziałam, ten



Wieża w Parku Rozrywki w Tampere

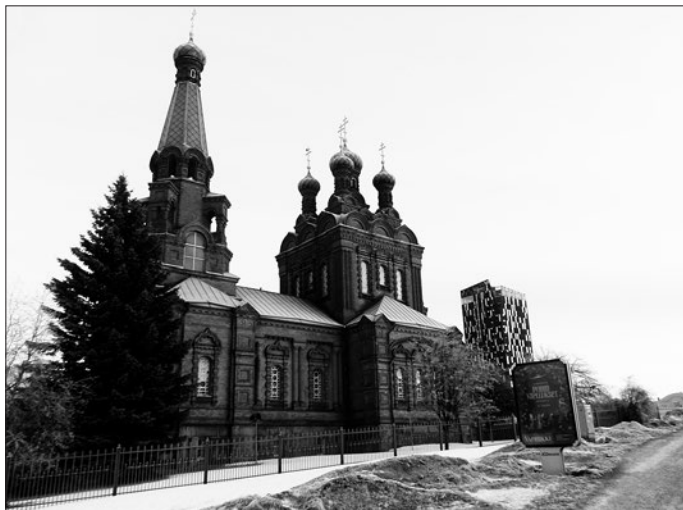
grysik po zimie jest zbierany, aby podczas następnego sezonu użyć go ponownie. Rzeczywiście skuteczność jego jest wyjątkowa. Tutaj nie sypie się soli ani piasku. I tylko buty przeżywają przy tym maksymalnie dwa sezony, bo ostre krawędzie grysiku granitowego niszczą podeszwy. Co chwilę na ulicach mijali mnie rowerzyści. I nie był to wyjątek. Tutaj zimą też się jeździ rowerami. Nie ma tylko rowerów miejskich. Trzeba mieć własny.

Na lewo jezioro, na prawo jezioro. I tak tu jest cały czas. Pomiędzy jeziorami jak nie grobla, to most. Do centrum miasta Tampere prowadzi kanał, którym do nabrzeży dopływają łodzie i mniejsze statki. Otaczające jeziora zimą są w większości zamrożone. Cieszy to mieszkańców, bo latem, aby dostać się na drugą stronę, trzeba objechać jezioro lub skorzystać z promu. Zimą porobione są pochylnie, którymi zjeżdża się na tafłę lodu. W ten sposób, na przykład z piętnastu kilometrów skraca się dystans do dwóch. I tak jest w całej Finlandii zimą.

Zanim dotarłam do Urzędu Miasta, zaliczyłam po drodze coś w rodzaju krakowskich Sukiennic. To hala targowa, mniej więcej dziewiętnastowieczna, a w niej alejki z różnymi towarami do jedzenia, ubrania, i różnych innych potrzeb. Co któreś miejsce był barek lub kawiarenka. Przy stolikach siedzieli Finowie w wieku, jak by tu rzec, bardzo dojrzałym. Młodszy o tej porze pracują. Tak, pracują w napięciu, oczekując piątkowego popołudnia. Wtedy, po wyjściu z pracy, dokonują niezwykle ważnych zakupów. Ich efektem, zazwyczaj w saunie, jest najpierw dźwięk nalewanego płynu, a potem ożywiona dyskusja na rozmaite tematy. Sobota przeznaczona jest na dochođenje do siebie, a niedziela na pójście do kościoła. Nie bardzo wierzyłam w taki schemat weekendowy Finów, jednak znajomy misjonarz upewnił mnie w tym, dodając, że alkoholizm jest tą niechlubną tradycją, której Finowie się wstydzą, ale zaprzestać jej nie mogą.

Nieśpiesznym spacerkiem dotarłam do centralnego placu Tampereen Teatteri. Okazały zabytkowy budynek

magistratu robił wrażenie. Jego przedłużeniem była część nowoczesna, mieszcząca rozmaite wydziały. Do jednego z nich właśnie zmierzałam. Trafiłam na przerwę kawową w posiedzeniu Rady Miasta. Skorzystałam z poczęstunku, a potem zwiedziłam salę obrad. Na ścianie, ponad głowami radnych, umieszczona została mozaika wykonana z kobaltowo-złotej ceramiki. Była ona na ostatniej wystawie EXPO głównym akcentem fińskiego pawilonu. Trafiła tutaj, do miasta, które w nieodległej przeszłości miało być stolicą państwa. Nie zostało nią i chyba dobrze, bo urzędy centralne są w Helsinkach, a tutaj i w najbliższej okolicy skupia się sztuka i nauka. Muszę dodać, że także nowoczesność i aktywność proekologiczna. O pozostałości historyczne dba się tutaj szczególnie, nawet na tym centralnym placu, na którym zbytkowe kamienne fontanny zimą przykrywa się ozdobnymi przezroczystymi kopułami, dla ochrony przed zanieczyszczeniami, wodą i mrozem. A o mróz tu łatwo.



Tampere, cerkiew prawosławna

Po spotkaniu w urzędzie ponownie wyszłam na wspomniany wcześniej plac. Warto zauważyć, że naprzeciwko okazałego magistratu znajduje się teatr, od którego plac wziął nazwę. Jest tam również zabytkowy kościół i część parkowa. Wśród drzew stoi wysoki słup, na którym umieszczono skierowane w odpowiednią stronę światła nazwy miast partnerskich Tampere. Początkowo zadziwiła mnie obecność miasta Łodzi, jednak zdałam sobie sprawę, że zarówno jedno, jak i drugie, jest miastem przemysłowym, związanym z produkcją włókienniczą. Tutaj jednak o obiekty poprzemysłowe dba się, remontując, aby bądź co bądź historyczne obiekty nie uległy zniszczeniu.

Do wieczora miałam czas, więc udałam się na spacer. Najpierw w „sukiennicach” zjadłam smaczną rybę, a potem z mapą w ręku poszłam na spotkanie z miastem. Już z daleka widać było wieżę. W przewodnikach znalazłam jej opis i to, że na górze jest kawiarnia obracająca się tak, że nie ruszając się z miejsca, w ciągu 45 minut można obejrzeć całą panoramę miasta i okolicy. Bilet wjazdowy mógł być tańszy, jeśli wracając na dół wykazało się konsumpcją na górze. Jak więc było nie skorzystać z ulgi? Wyjechałam szybkobieżną windą i już mogłam rozkoszować się widokiem. A było co oglądać. Najpierw szukałam „mojego” hotelu. Potem moją uwagę przycią-

gnęli łyżwiarze, którzy na panczenach, odpychając się kijkami, jeździli po pokrytym lodem jeziorze, to znaczy po odśnieżonych torach i wyrównanej tafli. Nie ruszając się z miejsca robiłam fotografie zmieniającego się krajobrazu. Trochę szkoda, że nie tak barwnego jak latem. Na dole oceanarium, marina i park rozrywki dla dzieci – słynne Angry Birds. Zimą nieczynne. Kawa poszła w tkanki, a ja zjechałam i z satysfakcją przedstawiłam do zapłaty zredukowany rachunek.

Zapomniałam dodać na początku, że nie wyleciałam do Finlandii sama. Gdyby nie to, z pewnością pamiątkowe fotografie dokumentowałyby wszystko z wyjątkiem mnie. Tymczasem w moim cyfrowym albumie znalazło się wiele fotografii z moją osobą. Stąd ja na tle magistratu, ja na tle wieży i inne ja na innym tle, o czym później. Nie pozwoliłam tylko fotografować mnie podczas spotkania w saunie. Wygląd choć dostatni, jednak nie nadaje się do albumu.

Słońce było nisko i schodziło coraz niżej, więc trzeba było pożegnać wieżę. W wyobraźni utrwaliłam krajobraz, aby podczas kolejnych dni nie zgubić się i mieć jako takie pojęcie, w którą stronę iść, aby dojść do obranego celu. Mapa niekoniecznie była już tak bardzo potrzebna. No, może w jakichś drobnych szczegółach z nazwami. Powrót do hotelu był tak zaplanowany, aby jak najwięcej zwiedzić po drodze. Zawitałam więc do jednego z neogotyckich kościołów, przeszłam obok Biblioteki Miejskiej, a potem przed drzwiami Muzeum Lenina.

Biblioteka, niby nic dziwnego, choć architektura ciekawa, co innego jednak przykuło moją uwagę. Od razu wróciły wspomnienia z czasu podstawówki. Przed głównym wejściem znajdował się bowiem pomnik Muminka. Takiego grubasnego, sympatycznego stworza z Doliny Muminków, opowiadania dla dzieci. Poklepałam po brzuszku Muminka, co robią wszyscy po kolei, wchodzący, wychodzący i przechodzący obok, no może z wyjątkiem częstych gości Biblioteki.

Wspominałam o Muzeum Lenina. Tak, tutaj cieszyła się ta postać ogromną popularnością do tego stopnia, że aż zasłużyła na muzeum. To właśnie Finlandia zakupiła demontowany w Nowej Hucie koło Krakowa pomnik dawnego patrona samej huty. Przeszłam jednak tylko przed wejściem, bo obiekt był zamknięty z racji późnej pory. Szkoda, że obowiązki późniejsze nie pozwoliły na zwiedzenie tego miejsca. Za Muzeum Lenina był ogromny nowoczesny budynek Opery. Na ścianach reklamy *Nabucco* zapraszały do wnętrza. Kolejny raz nie dam rady wybrać się na to dzieło. Tak sobie pomyślałam z żalem.

Długi spacer spowodował, że trochę zmarzłam. Postanowiłam więc po kolacji posmażyć się w saunie. Może nie rozwinie się przeziębienie, choć gardło jakieś niepewne. Jak zamierzyłam, tak zrobiłam. Ucieszyło mnie, że pomieszczenie było puste. Siedziałam tam z pół godziny, a po wyjściu miałam ochotę znów iść na zwiedzanie miasta. Taki był efekt tego dnia i kolejnych kilku, aż do powrotu do Polski. Zasmakowanie prawdziwej, historycznej i bardzo tradycyjnej sauny było dopiero za trzy dni. Firma TREDU, którą odwiedziłam, zaprosiła mnie na teren dosyć odległy od Tampere. Jechało się ponad godzinę autokarem, a potem wjeżdżało głęboko



w las. Kilka obiektów rozmieszczonych zostało w pobliżu jeziora. Te mniejsze to wiekowe już sauny z piecami opalonymi drewnem pośrodku i ławami wokół. Do tafli jeziora prowadziły kamienne i drewniane schodki z poręczami. Procedura, jak w saunie: po wygrzaniu, skok do lodowatej wody w przerębli lub wytarzanie w śniegu. Tak mi było szkoda gospodarzy... dzień wcześniej wycięta w lodzie o grubości 40 cm przerębla, cała nocą zamarzała. Żadne tupanie, uderzanie prętami, użycie siekier, nie otworzyło tego lodowego okna. Kąpiel musieliśmy zastąpić tarzaniem w śniegu. Miałam kiepskie pojęcie o tym etapie saunowania. Z boku, wydawało się niemożliwe, aby rozgrzany człowiek wyszedł na mroźne powietrze ( $-15^{\circ}\text{C}$ ) i jeszcze wytarzał się w śniegu. Tymczasem tego zimna po prostu się nie czuło. Nowe doświadczenie bardzo mi się spodobało. Czułam się lekka, zdrowa, zadowolona i niesamowicie głodna. Zjadłabym całego renifera – chyba. Wieczór przyleciał jakoś niepostrzeżenie. To wynik dobrego towarzystwa, w którym było o czym porozmawiać. Nie był to jednak piątek, ani sobota. „Finlandia” stała więc gdzieś na półce sklepowej i czekała na weekend. Powrotną drogę niektórzy przekimali, a reszta wspominała emocje nacierania i tarzania się w śniegu przy 15 stopniach mrozu. W świetle reflektorów co kilkanaście kilometrów można było dostrzec znak drogowy ostrzegający przed wkraczającymi na jezdnię łośami. Jeden taki nawet wkroczył, ale w bezpiecznej dla niego i dla nas odległości.

Kolejne dni wypełniały wyjazdy, spotkania i wizyta w Uniwersytecie Tampere. Uczelnia ta może udzielić wiele wskazówek, jak chronić środowisko naturalne i żyć ekologicznie. Studenci uprawiają grządki, z których potem mogą zjadać warzywa. Na korytarzach jest wiele stanowisk zwanych „Free to take”, gdzie można zostawić sprawne urządzenia, kabelki, nośniki cyfrowe, segregatory, które ktoś może sobie zabrać bezpłatnie, jeśli takie akurat są mu potrzebne. Segregacja odpadów też jest bardzo uporządkowana, co daje efekt zmniejszenia ilości odpadów wędrujących na składowiska.

Jednego z tych ostatnich dni odwiedziłam niezwykle ciekawe miejsce. Było to osiedle, które już w założeniach projektowych miało być ekologiczne. Domy zaplanowano z naturalnych materiałów, z zachowaniem samowystarczalności energetycznej opartej na odnawialnych źródłach energii. W osiedlu gospodarka odpadami została zorganizowana tak, aby w oparciu o technologię MetroTaifun, wszystko było zautomatyzowane i hermetyczne, a przy tym selektywne. Pomimo dużej zasobności w wodę całej Finlandii, nie zapomniano o właściwej gospodarce wodą pochodzącą z opadów atmosferycznych. Miejsca rekreacji oparto między innymi na stawach, które napełniać powinna woda deszczowa. Wszystko w otoczeniu zieleni i z wykorzystaniem naturalnych – lokalnych materiałów. Można? – Można! Wokół las, krajobraz pagórkowaty i mroźne powietrze.

Podczas pobytu, oprócz spraw zawodowych miałam też dzień wolny od obowiązków. Wykorzystałam go na pobyt w Helsinkach – stolicy Finlandii. Pendolino dowiozło mnie do tego miasta, do jego samego najważniejszego centrum. Pogoda chyba nie najlepsza, bo po deszczu lub z lekką mżawką i silnym wiatrem. Za to cały dzień na

zwiedzanie. Trasa zaplanowana była w najmniejszych szczegółach.

Najpierw kościół w skale Tempeliaukko kirkko. To w samym środku dwudziestowiecznego osiedla, wykuty w granitowej skale nowoczesny kościół, w którym doskonale wykorzystano naturalną skałę, miedź i szkło. W tle muzyka kościelna wyływająca z każdego kąta poprawiała wrażenie wyjątkowości miejsca. Dla mnie, geologa i inżyniera widok skał i całego otoczenia był niezwykle pasjonujący. Tym bardziej, że kopuła miedziana wystająca nad skałę znajdowała się w otoczeniu zwyczajnych bloków mieszkalnych w stylu naszego „późnego Gierka”.



Helsinki, Pomnik Sibeliusa

Drugim miejscem był Park Sibeliusa z awangardowym pomnikiem tego kompozytora fińskiego, twórcy narodowego stylu w muzyce. Pomnik wykonany został z różnej długości rur stalowych nierdzewnych, pospawanych równoległe, z napawanymi nierównościami i wyciętym azurem.



Kawiarenka Regatta nad brzegiem jeziora w Parku Sibeliusa

Przejmujący chłód zmusił nas do rozejrzenia się za ciepłą herbatką lub kawą. Niedaleko była mała kawiarenka, słynna na cały świat Regatta, gdzie podają smakowite cynamonowe bułeczki. We wnętrzu stoliki o powierzchni nie większej jak format kartki A3 i tak

ciasno ustawione, że siedząca osoba stykała się plecami lub łokciami z sąsiednimi osobami. Na ścianach mnóstwo pamiątek i obrazów. Niektóre z nich z racji braku miejsca załamane pod kątem prostym wypełniały kąty stykających się ścian. Ciasno, ale ciepło, wesoło i smacznie. Kawa lub herbata do woli, co tym razem okazało się wyjątkowo pożądane. Ogrzani, z optymizmem wyruszyliśmy dalej.



**Helsinki, katedra luterańska i pomnik Mikołaja II cara Rosji**

Tym razem główny „deptak” stolicy. Szłam środkiem alei, mając po lewej i prawej stronie przysypaną śniegiem zielen i co 500 kroków jakiś pomnik upamiętniający kogoś na podobieństwo naszego Adama Mickiewicza. Zresztą podobieństwo było bardzo zbliżone. Zarówno cokół, jak i forma postaci w stylowym okryciu. Zachwycając się architekturą małą i dużą, a także grysikiem granitowym pod stopami, doszliśmy do miejsca najważniejszego, jakim jest plac przed siedzibą prezydenta Finlandii.



**Helsinki, Pałac Prezydencki**

Czytelnik może wyobrazić sobie uporządkowaną okolicę, równiutkie krawężniki, straż prezydencką lub inne służby pilnujące porządku, a tu niespodzianka. Neoklasycystyczny Pałac Prezydencki z masztem z flagą pomalowany na niebieskawo-kolor z pilastrami w kolorze ecru, a przed nim w odległości 5 metrów ruchliwa ulica, jedna z głównych. Po drugiej stronie ulicy kramy,

budki, łóżka składane, stołeczki, na których sprzedaje się wszelkie możliwe przedmioty typowe dla Finlandii i z krajów zamorskich. Wśród nich wyroby z rogu renifera, jak nóż do żółtego sera, wyroby z lnu, talerzyki, łyżki, deski do krojenia wykonane z drewna, wełniane skarpety, czapki robione na miejscu przez sprawne dłonie Finek i swetry z alpaki przywiezione z Ekwadoru czy Kolumbii, sprzedawane przez prawdziwego Indianina. Oczywiście musiałam zrobić zakupy z napisem Helsinki i Finlandia, bo obiecałam to Bliskim. Dla siebie kupiłam sweter z alpaki, lnianą torbę na zakupy i zabawny nóż do sera. I tylko z głowy nie mogła mi wyjść jedna myśl: W Polsce przed Pałacem Prezydenckim takie coś by nie przeszło, żeby stały stragany. Stragany może tak, ale te stołeczki, łóżka składane i babcie robiące na drutach to, co zaraz sprzedadzą. Natychmiast odpowiednie służby nałożyłyby mandaty albo posłały do sądu za obrazę urzędu i prezydenta i takie różne z tym związane przewinienia. Finom to nie przeszkadza.

Czas niestety nie chciał zaczekać i przepędził mnie jeszcze przez nabrzeże portowe w okolicy pięknej cerkwi, potem katedry protestanckiej, pomnika cara Mikołaja II, aż do pizzerii, gdzie w okolicy Dworca Centralnego głód zmusił mnie i osoby mi towarzyszące do zjedzenia specjalności lokalu. W nagrodę dostaliśmy bonus we wszystkich pizzeriach tej sieci na świecie. Tylko nie wiem do tej pory dlaczego. Powiedzieć nie chcieli. W drodze do pociągu relacji Helsinki–Tampere zaliczyliśmy jeszcze paradę weselną z mnóstwem prezentów i reklamę warszawskiego teatru Ateneum.

Zapadał zmrok, o tej porze roku szybko. Usadowiliśmy się wygodnie w wygrzonym wagonie, tym razem już nie Pendolino. Zdjęłam kurtkę i rozejrzałam się po pasażerach. Po mojej prawej stronie siedziała sobie fińska babcia około sześćdziesiątki z fińską wnuczką około dwunastki. Babcia robiła na drutach skarpetki z ładnym warkoczowym wzorem. W pewnej chwili spojrzałam na rozbawioną małą, a i mnie też rozbawiło to samo. Obie, to znaczy ja i wnuczka, byłyśmy w takich samych swetrach. Mój, dużo większy, był robiony przeze mnie w Lublinie, z 15 lat temu na drutach – bo lubię sama robić to, w czym potem chodzę. Dziewczynce pewnie robiła to obecna babcia. Ona zresztą też miała rozbawioną twarz, patrząc to na mnie to na wnuczkę. Ja robiłam wzorem z głowy, a ona skąd? Zaznajomienie z Finkami bardzo się przydało pół godziny później. Niewiele brakowało, a przegapilibyśmy moment przesiadki do drugiego pociągu i czekali do następnego dnia. Późnym wieczorem dotarliśmy do hotelu. Dzień pełen wrażeń zakończyła znów wizyta w saunie, która wysmażyła całe zmęczenie.

Kolejny dzień był przedostatnim dniem pobytu w Finlandii, jednak zdołałam, oprócz uczestniczenia we mszy świętej w kościele polskim, zaliczyć dwa muzea, w tym muzeum historii dawnej i współczesnej. Od eksponatów geologicznych trudno było mnie oderwać. Zwiedziłam również ogromny, cały zbudowany z granitu, kościół luterański, gdzie obiegający wewnątrz ozdobny fryz przedstawiał symbolicznie Apostołów w postaciach namalowanych nagich chłopców trzymających girlandy zieleni. W prezbiterium zaś uwagę zwracał ogromny obraz zmartwych-



wstania na końcu czasów, z parą gejowską w centrum. Finom trudno było przełknąć te dzieła, ale cóż, dzieło to dzieło. W końcu zaakceptowali i na to zobojętnieli.

Wspomnienia z pobytu w Finlandii co trochę odzywają wraz z emocjami, ile razy przeglądam fotografie i kroję żółty ser. Skąd jednak, jak przypuszczam zastanawia się Czytelnik, tytuł tego artykułu? Dlaczego Finlandia tylko zimą? Może z racji skoków narciarskich w Lahti, albo ślizgania się po zamrożonych jeziorach, których tutaj są tysiące? Nie, przyczyna jest inna. Proszę sobie wyobrazić te mnóstwo jezior, mokradeł, bagien, a nad nimi unoszące się miliardy meszek i komarów! Latem, tylko w Laplandzie, czyli Laponii, tego paskudztwa nie ma, a jak jest, to tubylcy mają rzadką i tylko tam rosnącą, roślinę, która upleciona i noszona wokół szyi odstrasza owady głodne krwi. Zima jest wolna od owadów. Właśnie dlatego Finlandia tylko zimą!



Tampere, wnętrze kościoła luterańskiego

*Marian Surdacki*

## Bari. Śladami św. Mikołaja i Aldo Moro

Nie ukrywam, że od lat dzieciństwa darzyłem Włochy szczególną sympatią. Nie wiem nawet w czym tkwiły przyczyny zainteresowania i fascynacji tym nieznanym mi jeszcze wtedy krajem i jego mieszkańcami. Nastąpiło to w sposób spontaniczny i jakby niczym nie uświadomiony. Jako że już jako dziesięcioletni chłopiec zainteresowałem się bardzo głęboko sportem, w tym na początku piłką nożną, moja „słabość” do pięknej Italii zaczęła przejawiać się w kibicowaniu włoskim sportowcom i drużynom. Z nieukrywaniem podziwem śledziłem na bieżąco w latach sześćdziesiątych XX w. wielkie sukcesy i triumfy mediolańskich drużyn AC Milanu i Interu w rozgrywkach klubowego pucharu Europy (obecnie Ligi Mistrzów), później także Juventus Turyn. Ich zwycięstwa z etatowym wówczas zwycięzcą tych rozgrywek i nie mniej sławną Benficą Lizbona wprowadzały mnie w stan euforii.



**Sandro Mazzola na początku lat 70. XX w.**

Znałem wtedy wszystkich czołowych graczy tych drużyn, na czele z prawdziwymi gwiazdami: Gigi Rivą, Gianni Rivera, Sandro Mazzolą czy Giacinto Facchetim, Dino Zoffem, Tarcisio Burgnichem, Angelo Domenghinim czy Roberto Bonisegna. Sandro Mazzolę z Interu miałem okazję spotkać i porozmawiać z nim 14 września 1981 r. na lotnisku Malpensa w Mediolanie, gdy drużyna Interu udawała się do Turcji na mecz z Galatasaray lub

Fenerbahçe w ramach jednego z klubowych pucharów europejskich. Ja również oczekiwałem na powrót do kraju po rocznym stypendium we Włoszech. Mazzola nie był już czynnym piłkarzem, pełnił funkcję dyrektora Interu, był postacią bardzo we Włoszech popularną i łatwo rozpoznawalną z uwagi na swą urodę (lekką łysiejący brunet z wąsikami). Był moim ulubionym piłkarzem i autorytetem ze względu na kulturę piłkarską i osobistą. Gdy go zobaczyłem, bez wahania do niego podszedłem, mówiąc, że był moim ulubionym piłkarzem. Porozmawialiśmy o ekipie „orłów Kazimierza Górskiego”. W pewnym momencie zniknął na chwilę, po czym pojawił się z plikiem pamiątkowych klubowych breloczków i materiałów reklamowych.

W dzieciństwie i latach młodzieńczych nigdy nie myślałem, że moja bezinteresowna sympatia i afekt zostaną nagrodzone i doczekają się praktycznego urzeczywistnienia. Mając 25 lat, zupełnie niespodziewanie los pozwolił mi rozpocząć trwającą do dzisiaj włoską przygodę. Jesienią, 27 października 1980 r., władze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, na którym ukończyłem dopiero co studia historyczne, wydelegowały mnie na roczny staż naukowy do Perugii i Rzymu. Pobyt ten całkowicie zdeterminował moje życie naukowe i rodzinne. Od tamtego czasu regularnie wyjeżdżałem do mojej „drugiej ojczyzny”. W sumie spędziłem w niej ponad trzydzieści pobytów – dłuższych (dwa lata) i krótszych (tydzień), łącznie pięć lat swojego życia. Zawsze spotykałem tam wielką życzliwość, zarówno ze strony środowisk naukowych, kościelnych, jak i zwykłych mieszkańców. Gdy chodzi o prawdziwe przyjaźnie i więzy międzyludzkie, to mam wrażenie, że tyle samo posiadam ich w ojczyźnie Remusa i Romulusa, co na rodzinnej polskiej ziemi.

Intensywna współpraca z Włochami przyhamowała nieco na dłużej w pierwszym dziesięcioleciu trzeciego milenium. Przyczyną tego było całkowite zaangażowanie się w badania nad dziejami Urzędowa, mojej pierwszej i najważniejszej ojczyzny. Skończywszy prace (trzy książki, kilkadziesiąt artykułów) dotyczące Urzędowa, postanowiłem odnowić żywe wcześniej kontakty z Italią. Doskonałą ku temu okazję stwarzał program *Erasmus*, który umożliwia prowadzenie wykładów na zagranicznych uniwersytetach. Po raz pierwszy skorzystałem z tej możliwości w 2011 r., gdy miałem przyjemność przeprowadzić cykl wykładów na Uniwersytecie *Lumsa* w Rzymie. Od tego czasu corocznie wyjeżdżałem w podobnym celu. Na wspomnianym uniwersytecie rzymskim gościłem już cztery razy. Na Uniwersytecie *Sacro Cuore* w Mediolanie przebywałem dwa razy. O pierwszym pobycie w mediolańskiej uczelni pisałem w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” w 2015 r.



Zajęcia ze studentami na Uniwersytecie w Bari

Obecnie pozwolę sobie nawiązać do wizyty w ramach *Erasmusa*, jaką odbyłem w dniach 21–28 stycznia 2016 r. na Uniwersytecie Aldo Moro w Bari, 320-tysięcznym mieście portowym położonym tuż nad Morzem Adriatyckim, stolicy regionu Puglia (Apulia) w południowych Włoszech. Nie była to moja pierwsza wizyta w tym mieście. Rok wcześniej, w sierpniu, mój włoski przyjaciel generał Nicola Luisi zaprosił mnie z żoną Ewą i córką Faustyną na wakacje do swego domku letniskowego w Locorotondo, leżącym około pięćdziesiąt kilometrów na południe od Bari. Przypuszczając, że niebawem uda mi się przyjechać do tego miasta z wykładami, poprosiłem, by zawiózł mnie na krótki rekonesans do celu przyszłej podróży. Była to eskapada symboliczna, bo trwająca około godziny. Zdołałem wtedy tylko z zewnątrz obejrzeć uniwersytet, następnie w biegu zajrzeć do słynnej katedry św. Mikołaja oraz porozmawiać z włoskimi karabinierami, z którymi uwieczniłem się na pamiątkowej fotografii.

Ten pierwszy pobyt w Bari był zaledwie epizodem. Dokładniej poznać miasto miałem możliwość dopiero podczas drugiej podróży do stolicy Puglii. W głównym zamierzeniu miała ona charakter czysto naukowy, uniwersytecki; pobyt wypełniony był ośmiogodzinnymi wykładami dla studentów i doktorantów z wydziału pedagogicznego. Zostałem tam przyjęty w sposób bardzo

przyjazny, z wielką serdecznością, traktowano mnie z dużymi honorami, gdyż przybyłem na tamtejszy uniwersytet jako pierwszy przedstawiciel KUL-u. Wizyta przyniosła natychmiastowe skutki, bowiem już po kilku miesiącach, w październiku 2016 r. na moje zaproszenie przybyły z rewizytą do naszej uczelni trzy panie profesor, w tym roku trzy następne wybierają się do Lublina. Uniwersytet w Bari – *Università degli Studi di Bari* – został założony w 1925 r., jest obecnie podzielony na 12 wydziałów.

W starożytności Bari było małą rzymską osadą, znaną pod nazwą *Barium*. Było ważnym portem morskim od 180 r. p.n.e., a także ośrodkiem handlowym i strategicznym. Rozwój Bari przypada na okres VI–X w., kiedy pełniło rolę największego portu południowo-wschodniej Italii. W IV stuleciu stało się siedzibą biskupstwa. Od roku 873 miasto znajdowało się pod panowaniem Bizancjum (zostało odbite z rąk Saracenów). W roku 1071 cesarstwo bizantyjskie utraciło kontrolę nad Bari, co ostatecznie położyło kres bizantyjskiemu panowaniu w Italii. W wiekach XI–XIII miasto było punktem zbornym rycerzy chrześcijańskich biorących udział w wyprawach krzyżowych i w tym czasie przekształciło się w zamożną republikę. W XIII w. cesarz i król Sycylii Fryderyk II rozbudował system obronny miasta, m.in. normandzki zamek i bastion portowy. Następnie było stolicą samodzielnego księstwa Bari należącego do rodu Sforzów, z którego pochodziła żona Zygmunta Starego i matka Zygmunta Augusta – królowa Bona. W roku 1558 przeszło pod panowanie Królestwa Neapolu, po czym podupadło, natomiast ponownie rozkwitło w wieku XVIII i w okresie panowania francuskiego (lata 1796–1814). Za czasów Napoleona rozbudowano Bari w głąb lądu – budynki i pałace nowej dzielnicy zwane są *Borgo Muratiano*. Od roku 1860 miasto weszło w skład Królestwa Włoskiego. 2 grudnia 1943 r. doszło do niemieckiego nalotu na pełen alianckich statków port w Bari, co nazwane zostało „małym Pearl Harbor”. W ciągu 20 minut bombardowania zatонуło 28 statków i zginęło około 2 tysiące ludzi.

Między zajęciami uniwersyteckimi i tuż po ich zakończeniu, korzystając ze znakomitej pogody, nietypowej o tej porze roku (15–20 stopni Celsjusza), każdą wolną chwilę wykorzystywałem na poznawanie miasta, które niezależnie od funkcji portowych, uznawane jest za centrum kupiecko-handlowe, bankowe i kulturalne. W odkrywaniu jego tajemnic towarzyszyły mi dopiero co poznane przyjaciółki z uniwersytetu. Bari jest miastem bardzo uporządkowanym, o regularnym układzie, z przecinającymi się pod kątem prostym ulicami. Przypomina Mediolan, stolicę włoskiego biznesu, finansów i banków. Gdy chodzi o zabudowę architektoniczną, w centrum miasta dominuje styl barokowy i klasycystyczny. Trochę na uboczu, nieopodal morza, rozpościera się, jakby odrębna enklawa, miasto pierwotne w konwencji średniowiecznej architektury romańskiej, niekiedy nawet wczesnochrześcijańskiej. To w jego obrębie kumulują się najcenniejsze zabytki z licznymi świątyniami z białego kamienia, na czele z bazyliką św. Mikołaja. Szczególnie urokliwe są tam bardzo wąskie uliczki (niekiedy 1,5–2-metrowej szerokości), po obu stronach obsadzone przylegającymi do siebie kamiennymi sklepikami i domkami mieszkalnymi.



Trzecim członem miasta jest nadbrzeżna część portowa, najważniejsza w aspekcie gospodarczym, wielkie skupisko dźwigów, statków i okrętów oraz innych urządzeń i obiektów stoczniowo-nautycznych. Istnieje tam również wielka rafineria ropy naftowej. Od roku 1930 w Bari organizowane są Międzynarodowe Targi Lewantyńskie.

Centralnym i najważniejszym obiektem zabytkowym i architektonicznym w Bari jest romańska bazylika św. Mikołaja (*San Nicola*), której budowę rozpoczęto



Prof. Marian Surdacki na ulicy w Bari



Przed bazyliką św. Mikołaja w Bari

w 1087 r. W bazylice tej złożone są relikwie św. Mikołaja. W X wieku św. Mikołaj otoczony był ogromnym kultem, zyskał miano świętego patrona miasta. Z bazyliką tą spleciony jest ważny fragment dziejów Polski. Znajduje się w niej nagrobek z 1593 r. królowej Polski Bony. Mauzoleum ufundowane przez jej córkę, królową Annę Jagiellonkę, umieszczono za ołtarzem głównym świątyni. Sarkofag zdobi rzeźba przedstawiająca klęczącą Bonę w schyłkowych latach jej życia. Obok polskiej królowej stoją patroni Polski i Bari – św. Stanisław i św. Mikołaj.

Opowiadając o Bari, nie można nie wspomnieć o dwóch wielkich postaciach, związanych z tym miastem. Jedną z nich to powszechny symbol chrześcijaństwa. Chodzi o św. Mikołaja z Miry, biskupa, najsłynniejszego i najbardziej „kochanego” w dzisiejszym świecie świętego. Popularność jego imienia, wielość kościołów i innych obiektów sakralnych, którym patronuje, oraz sympatia, jaką go darzą zwłaszcza najmłodsi, jest nieadekwatna do powszechnej wiedzy o nim.

Mikołaj z Miry, święty Mikołaj, znany również jako Mikołaj z Bari. Według średniowiecznej hagiografii (żywołów świętych) żył na przełomie III i IV w., był biskupem Miry w Licji (Turcja). Urodził się w Patras w Grecji około 270 r. Sam zginął śmiercią męczeńską 6 grudnia ok. 345 lub 352 r. (wg legendy) w więzieniu w Mirze. Historycy nie odnaleźli jednak żadnego zapisu z III, IV czy nawet V w., który potwierdzałby istnienie takiej postaci. Nie wymieniono imienia Mikołaja w aktach soboru nicejskie-

go w 325 r. Najstarsze o nim przekazy pochodzą z VI w. Przez wieki był jednym z najbardziej czczonych świętych na Zachodzie i Wschodzie (w prawosławiu). Największe jego sanktuarium znajduje się w Bari.

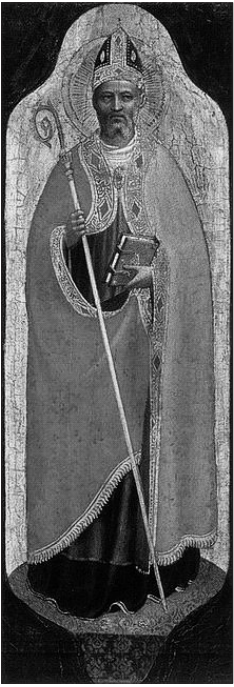
Późniejszy biskup wsławił się cudami oraz pomocą biednym i potrzebującym, co było o tyle łatwiejsze, że jego rodzice byli bardzo zamożnymi ludźmi. Pewnego dnia Mikołaj dowiedział się, że jeden z mieszkańców Patras popadł w biedę. Wychowywał on trzy córki, które z braku pieniędzy nie mogłyby wyjść za mąż. Mikołaj wrzucił im przez okno sakiewkę z pieniędzmi, co uchroniło je przed biedą. Gdy został biskupem, zasłynął wśród wiernych jako dobroczyńca i gorliwy duszpasterz. Mikołaj uratował przed śmiercią trzech drobnych złodziejasków, upraszając w Konstantynopolu cesarza Konstantyna I Wielkiego o darowanie im życia.

Te i wiele innych cudownych historii o życiu biskupa Miry przyczyniły się do jego beatyfikacji i na zawsze rozślawiły imię Mikołaja jako orędownika biednych i potrzebujących pomocy. Św. Mikołaj jest także patronem marynarzy. Podczas jego pielgrzymki do Jerozolimy na morzu rozpętała się potężna burza. Wokół biskupa zgromadziła się cała załoga, prosząc o wstawiennictwo do Boga, który wysłuchał modlitw i statek ocalał.

Domniemane ciało św. Mikołaja zostało przeniesione w 1087 r. z tureckiej Miry do Bari. Przebywający w Antiochii kupcy z Bari dowiedzieli się, że Wenecjanie planują wywieźć ciało świętego z Miry, aby uchronić je przed profanacją ze strony zbliżających się do miasta wojsk tureckich. Kupcy z Bari postanowili uprzedzić Wenecjan i całą flotą popłynęli do Miry. Przetransportowane statkiem ciało męczennika złożono tymczasowo w kościele św. Benedykta, a wkrótce w nowo wybudowanej wspaniałej bazylice, w której przebywa do dzisiaj. Nowa świątynia zasłynęła z cudów, które działy się w niej za przyczyną świętego Mikołaja.

W całym chrześcijańskim świecie kult św. Mikołaja zaczął się szybko rozpowszechniać. Popularyzację wizerunku świętego zawdzięczamy Holendrom. Św. Mikołaj był patronem Amsterdamu i otaczano go tam szczególną czcią. Popularność kultu spowodowała, że poświęcono mu tysiące kościołów, ołtarzy, kaplic, szpitali i hospicjów. W roku 1500 liczba poświęconych Mikołajowi kościołów tylko w Europie Zachodniej przekroczyła 2000. W roku 1772 patronował w Rzeczypospolitej 414 parafiom. Obecnie w samym Rzymie jest ich 11, natomiast w Polsce aż 327, m.in. w Urzędowie.





**Święty Mikołaj, Fra Angelico, tempera na desce, XV w.**

dotarł do Polski w średniowieczu z Niemiec, a także Niderlandów (Holandii). Współcześnie baśniowa postać wzorowana na św. Mikołaju jest wykorzystywana w kulturze masowej przy okazji świąt Bożego Narodzenia. O sławie oraz „wszechmocności” i skuteczności orędownictwa tego świętego świadczy fakt, że uważany jest za patrona ok. 30 grup zawodowych i społecznych, a także młodych panien na wydaniu. Stąd też jezuita Piotr Skarga, tworząc w końcu XVI w. fundacje posagowe dla ubogich, „cnotliwych pańienek chcących wyjść za mąż”, nazwał je skrzynkami św. Mikołaja.



**Relikwie świętego Mikołaja, krypta bazyliki w Bari**

Drugą niezwykle ważną postacią, tym razem z życia politycznego i niemalże współczesną, jest Aldo Moro. W przeciwieństwie do św. Mikołaja, nie jest to osoba tak uniwersalnie zakorzeniona w świadomości świata cywilizacji chrześcijańskiej, jednak dla Włochów, a szczególnie dla Bari i tamtejszego uniwersytetu ma znaczenie symboliczne. Jest ich narodowym bohaterem i również męczennikiem, choć jeszcze nie usankcjonowanym sakralnie.

Aldo Moro (ur. 23 września 1916 r. w Maglie) absolwent, a następnie wykładowca i profesor prawa na Uni-

wersytecie w Bari, od początku kariery politycznej był związany z Chrześcijańską Demokracją. W roku 1946 wybrany do Zgromadzenia Konstytucyjnego. Następnie był ministrem łaski i sprawiedliwości (w latach 1955–1957), oświaty (1957–1959), spraw zagranicznych (1969–1974) oraz spraw wewnętrznych (1976). Pięciokrotnie pełnił funkcję premiera Włoch (w latach 1963–1968 oraz 1974–1976). Był orędownikiem integracji europejskiej oraz autorem tzw. równoległej konwencji, tj. kompromisu dopuszczającego współpracę Chrześcijańskiej Demokracji z Włoską Partią Komunistyczną.

W dniu 16 marca 1978 r. Aldo Moro został porwany przez terrorystów z Czerwonych Brygad. W poszukiwaniu zaginionego włączyło się 50 tysięcy policjantów, co jednak nie przyniosło rezultatu. W jego uwolnienie zaangażowali się m.in. ówczesny papież Paweł VI oraz sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim. Porwanie przypadło na okres walk wewnętrznych we Włoszech, znanych jako „lata ołowiu”. Ostatecznie Moro został zamordowany. Jego ciało podziurawione kulami, pozostawione w bagażniku czerwonego samochodu Renault 4 z francuskimi tablicami rejestracyjnymi znaleziono 9 maja 1978 r. w centrum Rzymu. Miejsce to wskazał Romano Prodi, powoływał się przy tym na „seans spirytystyczny”, co wzbudziło wiele wątpliwości dotyczących faktycznego źródła informacji. Wątpliwości te powróciły po oskarżeniu Prodiego o współpracę z KGB w latach dziewięćdziesiątych XX w. i ponownie w 2005 r. Postawiony przed sądem przywódca Czerwonych Brygad Mario Moretti przyznał się do winy i został skazany za morderstwo Moro na sześciokrotne dożywocie, jednak więzienie opuścił w 1994 r. Za udział w porwaniu i zamordowaniu Aldo Moro odpowiadało 46 członków Czerwonych Brygad. 17 uniewinniono, 28 skazano na kary pozbawienia wolności do lat 15.

Aldo Moro to niewątpliwie jedna z najwybitniejszych postaci życia politycznego nie tylko Włoch, ale całej po wojennej Europy. W swym kraju popularnością, sławą i dokonaniem w polityce równać się z nim może legendarny Alcide De Gasperi, pięciokrotny premier Włoch (1945–1953) i twórca odbudowy państwa po II wojnie światowej, a także Giulio Andreotti pełniący 25 razy funkcję ministra i 7 razy premiera Włoch. Wielkość, tajemniczość i legendę Aldo Moro umacnia tragizm jego życia. Z tego punktu widzenia może on równać się z prezydentem Stanów Zjednoczonych Johnem Fitzgeraldem Kennedym, również zamordowanym w do dziś nie wyjaśnionych do końca okolicznościach. To ze względu na zasługi dla państwa i Europy, pracę akademicką, związki z uniwersytetem w Bari i jego rozślawianie, jeden z najważniejszych ośrodków akademickich we Włoszech uczynił go swoim patronem.



**Aldo Moro podczas przetrzymywania przez Czerwone Brygady**

Irena Sabeł

## Czwarta wyprawa na Podole

Po raz czwarty członkowie i sympatycy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Lublina, Puław, Urzędowa i Hrubieszowa wybrali się na Podole. Trudu organizacyjnego tej wyprawy podjął się rozmiłowany w turystyce kresowej wiceprezes lubelskiego TMLiKPW Henryk Zięba, który od wielu lat profesjonalnie zajmuje się prowadzeniem wycieczek na Kresy. Osoba organizatora to wielki miłośnik i znawca dziejów związanych z Kresami. Niektórzy uczestnicy po raz kolejny wzięli udział w tej wyprawie. Było kilkanaście osób młodych, chcących poznać ziemie związane z dawną Rzeczpospolitą Polską.

Po przejściu granicy polsko-ukraińskiej dojechaliśmy do Lwowa. Tu czekała nas uczta duchowa w Teatrze Opery i Baletu – spektakl *Carmina burana, czyli historia pewnego nieporozumienia* niemieckiego kompozytora Carla Orffa.

W drugim dniu, po spotkaniu z przewodniczką panią Teresą Pakosz, wyruszyliśmy w długą drogę. Zatrzymaliśmy się we Włodzimierzu Wołyńskim. Zwiedziliśmy kościół katolicki pod wezwaniem św. Joachima i Anny odzyskany w 1991 r. (od 1956 r. był tu skład ziemiopłodów, sala muzyki poważnej, a w podziemiach kawiarnia, a następnie Włodzimierski Sobór Uspieński). W miejscowości Zimno udaliśmy się do Monasteru Świętogórskiego. W skład tego warownego zespołu wchodzi kilka budowli. Po monastyrze oprowadziła nas prawosławna mniszka. Obejrzelśmy cerkiew, dzwonnice i mury obronne, z których roztaczał się piękny widok na bezkresne łąki z wieloma jeziorami i wysoko krążącymi bocianami. Zwiedziliśmy pieczary (siedzibę mnichów w XI–XII w.). W jednej z nich urządzono kaplicę-cerkiew św. Waarłama.

Do Rohatynia dotarliśmy w samo południe. Na rynku oczom naszym ukazała się kolumna Roksolany – Nastki Lisowskiej, córki popa, uprowadzonej przez Tatarów, sprzedanej do haremu. Została ona jedną z żon (Hürrem) sultana Sulejmana Wspaniałego i matką pięciorga jego dzieci. W tym czasie Turcja bardzo złagodziła politykę względem Polski. Obok cerkwi św. Mikołaja ujrzelśmy obelisk Adama Mickiewicza. Następnie udaliśmy się na wzgórze do drewnianej, XV-wiecznej cerkwi z bogato zdobionym ikonostasem, otoczonej starym cmentarzem. Tutaj zrobiliśmy sobie wspólne pamiątkowe zdjęcie.

Następnie udaliśmy się do Brzeżan – miasta określonego jako Szwajcaria Podolska, ze względu na piękne położenie nad rzeką Złotą Lipą. Zwiedziliśmy rodową twierdzę Sieniawskich wystawioną „Bogu na chwałę i ku obronie wiernych chrześcijan”. Zamek i kościół zamkowy Świętej Trójcy jest obecnie remontowany. Jednak od poprzedniego naszego pobytu prace niewiele się posunęły. Udaliśmy się do kościoła katolickiego św. Apostołów Piotra i Pawła ufundowanego przez Hieronima Sieniawskiego w 1600 r., obecnie pięknie odnowionego (do 1991 r. była tu sala sportowa). Podeszliśmy do zniszczonego

kościola ormiańskiego, gdzie na frontonie znajduje się niewielki fresk przedstawiający Matkę Boską, którego autorem miał być Edward Rydz-Śmigły. Mała chwila odpoczynku na kawę i ciastko w miejscowej kawiarni i ruszyliśmy dalej.

Podhajce – wieś należąca niegdyś do przodków Marii Gabrieli Korwin Piotrowskiej czyli Gabrieli Zapolskiej tutaj urodzonej. Zatrzymaliśmy się przy ruinach kościoła, gdzie urządzono małą kapliczkę pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej. Za świątynią znajduje się obelisk poświęcony Adamowi Mickiewiczowi w 100-lecie urodzin, odbudowany w maju 2011 r. przez Henryka Pękalskiego adwokata z Wrocławia – syna ziemi podhajeckiej.

Zwiedzanie Buczacza zaczęliśmy od 600-letniej „Złotej Lipy”, pod którą w 1672 r. Michał Korybut Wiśniowiecki podpisał haniebny pokój z sultanem tureckim Mahometem IV (odstąpił Turcji całe Podole i część Ukrainy). Na wzgórzu widoczne są ruiny zamku Potockich. W kościele Wniebowzięcia NMP ksiądz proboszcz opowiedział nam o pracy duszpasterzy na Ukrainie. Wspomnił zasłużonego i nieodżałowanego ks. Ludwika Rutynę, który przyjechał tu, aby prowadzić ludzi do Boga. Spojrzeliśmy na piękny ratusz, który stoi odrapany, opuszczony w niekończącym się remoncie.

Późnym wieczorem dotarliśmy do Jazłowca. Zadumaliśmy się nad ruinami kościoła Wniebowstąpienia NMP. Razem z siostrami uczestniczyliśmy we mszy św. w sanktuarium błogosławionej Marceliny Darowskiej. Siostry nas serdecznie przyjęły i wyśmienicie nakarmiły. Po śniadaniu udaliśmy się do kaplicy cmentarnej, gdzie spoczywają siostry niepokalanki razem z ich założycielką. Przed wojną była tu szkoła z internatem dla dziewcząt. Obecnie działa tu ośrodek rekolekcyjny i sanatorium dla chorych na płuca. Obok ośrodka górują mury średnio-wiecznego zamczyska – ileż tu kryje się tajemnic historii.

Serdecznie pożegnani przez siostry udaliśmy się do najatrakcyjniejszego miejsca Szwajcarii Nadniestrzańskiej – Czerwonogrodu. Autokar zatrzymał się na wzgórzu, z którego prowadzi droga do widocznych z daleka, mieniących się w rozczarwionym krajobrazie dwóch białych wież, ale siedzący przy szlabanie dozorca nie pozwolił naszemu autobusowi zjechać do ruin. Pomimo upału zeszedliśmy do wąwozu. Opłacił się ponadgodzinny trud – dotarliśmy do pięknego wodospadu na rzece Dzuryn (największy na Ukrainie). Niegdyś ważne miasto królewskie, w czasie ostatniej wojny doszczętnie zniszczone i skreślone z mapy, ludność wymordowano lub wypędzono. Na cyplu oblanym przez wody rzeki Dzuryn zachowały się dwie baszty, pozostałość po pałacu Ponińskich i Lubomirskich oraz ruiny kościoła. Drogę powrotną odbyliśmy w ukraińskiej marszrutce.

W Zaleszczykach doszliśmy do wysokiego brzegu Dniestru. Z tego miejsca roztacza się wspaniałe widoki na miasto i malownicze zakola rzeki.



Po kilkugodzinnym prawie toczeniu się autokaru po drodze, a właściwie bezdrożu, dotarliśmy do Okopów Świętej Trójcy. Jakież było nasze przyjemne zaskoczenie, gdy zatrzymaliśmy się przy kościele Świętej Trójcy pięknie odrestaurowanym i wyposażonym (kilka lat wstecz wewnątrz rosła brzoza i orzech). Dajemy datki na organy. Twierdza na wąskim cyplu pomiędzy Dniestrem a Zbruczem stanowiła fortecę, wybudowaną z inicjatywy hetmana Stanisława Jana Jabłonowskiego w 1692 r. jako obóz dla wypraw rycerstwa na zajęte przez Turków ziemie polskie. W latach 1921–1939 było to pogranicze dla trzech państw: Polski, ZSRR i Rumunii.

Wieczorem dojechaliśmy do Kamieńca Podolskiego. Zakwaterowaliśmy się w nowoczesnym hotelu w centrum



miasta. Trwały Dni Kamieńca. Miasto rozświetlone i rozśpiewane. Nie wszyscy mieli siły, aby jeszcze pójść do centrum i oglądać występy. Następny dzień poświęcony był na zwiedzanie miasta. Była to niedziela. Udaliśmy się do katedry św. Piotra i Pawła, najbardziej na wschód wysuniętej gotyckiej świątyni w Europie. Przy ścianie frontowej wznosi się minaret z czasów okupacji tureckiej, zwieńczony później przez Polaków posągami Matki Bożej. Po mszy św. uczestniczyliśmy w procesji z okazji oktawy Bożego Ciała. Zwiedziliśmy przykościelny cmentarz, gdzie stoi pomnik poświęcony pułkownikowi Jerzemu Wołodyjowskiemu, słynnemu obrońcy twierdzy kamienieckiej. Był to pierwowzór Michała Wołodyjowskiego, bohatera *Trylogii* Henryka Sienkiewicza.

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy do Uścia, aby statkiem popłynąć do Chocimia. Już z oddali usłyszeliśmy melodię „O mój rozmarynie rozwijaj się...”. Tak witała nas załoga. Podczas rejsu rozkoszowaliśmy się przepięknymi widokami na wysokie jary w zakolach Dniestru. Podróż umilała nam muzyka ukraińska i polska zachęcająca do tańca. Do naszego statku podплыnęły łódki, w których rybacy mieli kosze różnych świeżo złowionych ryb. Ryby te przekazywali kucharzom. Po czterech godzinach

dotarliśmy do najbardziej znanej naddniestrzańskiej twierdzy – Chocimia – ułożonej na skalnym cyplu na prawym brzegu rzeki. W bardzo męczącym upale w ciszy i skupieniu słuchaliśmy historii oręża polskiego zapisanej w tych murach. O ważnych wydarzeniach dla Polski, o wielkich postaciach związanych z tym miejscem. Po powrocie na statek „Chocim” mieliśmy ucztę rybną: zupełną uchę i ryby przyrządzone na różne sposoby. Powrotny czas wypełnialiśmy śpiewem i tańcami. Niezmordowanym, najlepszym tancerzem okazał się Jurek. Od kapitana otrzymał nagrodę. Pełni niezapomnianych wrażeń wróciliśmy do Kamieńca.

Trzeci dzień pobytu w Kamieńcu poświęciliśmy na zwiedzanie twierdzy kamienieckiej. Budowla ta to naj-

większa z atrakcji Podola. Jest najdalej wysuniętą ku „dzikim polom” warownią w Europie Wschodniej. Okazała fortyfikacja, wzmocniona 12 basztami i wkomponowana w kamienny cypel, opadający stromo do zakola rzeki Smotrycz, to jeden z takich obrazów, które pamięta się przez lata. Na przestrzeni wieków twierdza ta przetrwała wiele oblężeń. Oblęgali ją: Turcy, Tatarzy, Mołdawianie, Wołosi. Po traktacie w Buczaczu w 1672 r. Kamieniec Podolski stał się częścią imperium tureckiego aż do 1699 r., kiedy to wrócił do Polski. Zwiedziliśmy tę największą fortecę Podola, porównując rzeczywistość z opisami literackimi. Udaliśmy się jeszcze do ruin ormiańskiego kościoła św. Mikołaja wysadzonego w powietrze za czasów stalinowskich. Zadumani nad naszymi dziejami opuszczaliśmy Kamieniec Podolski.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Skale Podolskiej nad Zbruczem. Z dawnego pałacowarowni zachowały się mury obronne, czteropiętrowa wieża oraz fragmenty pałacu z pięknymi kamiennymi ornamentami nad drzwiami i oknami. Od kilku lat przy wieży stoją rusztowania, ale nic się nie zmienia – chyba tylko to, że trzeba płacić bilet wstępu.

W Czortkowie wstąpiliśmy do kościoła Dominikanów. Następnie udaliśmy się do ruin zamku leżącego u podnóża góry Wygnańskiej, na brzegu rzeki Seret, siedziby Golskich, Czortkowskich, Potockich i Sadowskich. Wielokrotnie miejsce to najeżdżali Tatarzy, spustoszenia dokonywali najeźdźcy rosyjsko-kozaccy. Za panowania tureckiego (1672–1699) mieszkał tu subbasza. W zamku internowani byli powstańcy styczniowi.

Wieczorem pojechaliśmy do pensjonatu w Basiówce. Podczas uroczystej kolacji dzieliliśmy się spostrzeżeniami i wrażeniami z pobytu na Podolu. Podróż ta dostarczyła nam wielu przeżyć oraz stanowiła niezwykle ciekawą i jednocześnie pouczającą wyprawę w przeszłość. Oglądając zabytki, doskonale widać jak złożone i zmienne, a również tragiczne były dzieje Polaków oraz mniejszych społeczności zamieszkujących dawne, wielonarodowościowe, wielokulturowe i tolerancyjne Kresy.